

IV. BARBARKA

Po śmierci matki dziewczynka pozostawała pod opieką starej Maryjanki, która z racji wieku nie zawsze potrafiła jej upilnować. Niesforne dziewczętko lubiło wymykać się samo na miasto, dlatego troskliwa służąca często strofowała swoją podopieczną:

-Barko, Barko! Ni miałabyś łązić po mieście jako jaki powsinoga! Tyś je mistrzowa cera, a tej sie niy godzi samotnej pokozywać na rinku. Pon łojciec bydom sie gorszyć! Jakbyś iść kaj chciała, to mi mozesz pedzieć a ze tobom pójda...

-Pantatinek sie niy dozwie, jak mu niy powiysz, Maryjanko, a i tak byś za mnom niy nastykła, łacno bych ci uciykła! – zaśmiała się Barbarka, obróciła na pięcie i tyle ją widzieli.

Przebiegła koło muru ogradzającego stary kościółek, przemknęła przez mały, wybrukowany kocimi łbami placyk i skierowała się ku bocznej bramce, gdzie często pełnił służbę jej ojciec chrzestny, stary Kunera. Po drodze zawsze zatrzymywała się przy ramach sukienniczych, bo tam trwał nieustanny ruch. Lubiła popatrzeć jak uczniowie rozstawiali coraz to nowe ramy, a towarzysze rozpinali na nich szare i barwione sukna. Całości pilnował zazwyczaj brzuchaty majster Skwara albo chudy, jak postny śledź, mistrz Gawor o wielce znękanym obliczu. Na ich widok Barbarka zawsze „chwaliła Boga”, a oni zaszczykali ją chwilą rozmowy. Czasem posiedziała trochę w bramnej izbie, pogawędziła z „ujcem”, który pilnował porządku na bramce i co chwilę wychodził na dwór, żeby sprawdzić, czy coś złego się nie dzieje. Barbarka rozumiała, że tak trzeba i mimo wszystko wolała przerywaną rozmowę niż ciągłe utyskiwania Maryjanki.

Czasem, choć rzadko, zachodziła na rynek. Spacerowała wzdłuż kramów i oglądała przeróżne towary. Na dłużej zatrzymywała się jedynie przy kramie starej Prasolki, gdzie oprócz beczek soli, które stały w kącie, porozwieszane były korale, wstęgi, koronki i cały ten „babski żywioł”, który interesował ją najbardziej. Wyobrażała sobie, że kiedyś będzie wielką panią i na pewno będzie tu kupować, ile dusza raczy! Przechodząc, kłaniała się grzecznie majstrowym i kupcowym, choć one nie zawsze odpowiadały na jej pozdrowienie. Dziewczynka niewiele jednak sobie z tego robiła, tłumacząc to tym, że jest, być może, zbyt młoda, żeby wdawać się w rozmowę z dorosłymi, ale nigdy nie przyszło jej na myśl, że ktoś mógłby się do niej odnieść z pogardą.

Zimą Barbarka miała mniej swobody: za dnia uczyła się „warzić” i szyć, a wieczorami przy lampce darła z Maryjanką pierze do swojej przyszłej wyprawy, bo przecież szło jej na trzynasty roczek a szesnastolatki nierzadko bywały już matkami. Czasem, na kilka dni zachodziła do nich krewna Maryjanki, „ujna” Kwasiżurka, wtedy robota błyskawicznie posuwała się do przodu, ale młodziutka dziewczyna najbardziej lubiła jej wieczorne opowieści. Stary Kwasiżur, rodem spod Cieszyna, w młodości odbył za swego pana pielgrzymkę do Rzymu, za co dostał szmat pola, na którym do dzisiaj siedział z rodziną. Zobaczył wtedy kawał świata i wszystko żonie opowiedział, a ona, najlepiej jak umiała, przekazywała to innym. Barbarka zawsze była świata ciekawa, ale nigdy nie była dalej, jak na podmiejskich łąkach, teraz jednak zapragnęła z całego serca zobaczyć te wszystkie zamki, kościoły, rzeki i sławne mosty, o których słyszała, ale nie wiedziała jak to zrobić. Kiedy podzieliła się swoimi myślami ze starszymi kobietami, one przypomniały jej, że dziewczyna sama po świecie wędrować nie może, bo by ją jeszcze jaka krzywda mogła spotkać. Owszem, mogłaby za zgodą ojca odbywać podróże ze starszą ciotką, ale Barbarka żadnej takiej krewnej nie miała. Widząc jej smutną minę dodały na pocieszenie, że najlepiej niech wyjdzie za mąż za kupca, który często jeździ po świecie, ale doskonale zdawały sobie sprawę, że jako żona, Barbarka będzie miała zupełnie co innego do roboty i o podróżach nawet nie pomyśli.

Nadeszły „Godnie Święta” a za nimi nowy rok. W małym domku pod murami nadal było smutno i nudno. Jan zamykał się w swojej izbie i wychodził z niej dopiero rano, a stara

służąca zaczęła nie domagać. Na Barbarkę spadało teraz coraz więcej pracy. Wieczorami była tak zmęczona, że nawet nie chciało jej się bawić z ukochanym pieskiem.

Ledwie skończyły się roztopy i nadeszła piękna słoneczna wiosna, na dziewczę spadł nowy cios. Któregoś dnia Maryjanka nie pojawiła się rano w kuchni i Barbarka poszła ją obudzić. Kobieta leżała z rękami złożonymi jak do modlitwy i głową odwróconą do ściany. Nie żyła, zmarła we śnie. Pochowano ją w cieniu lip, jednak nie koło pani Katarzyny, którą kochała jak własną córkę, ale w drugim końcu, gdzie chowano biedotę.

Do pracy przy domu Jan najął garbatą Agatę, żonę miejscowego „drzika”. Kobieta przychodziła przed południem, robiła, co do niej należało i wracała potem do siebie. Jawnie lekceważyła Barbarkę, nie słuchając jej poleceń lub też wcale nie zwracała na nią uwagi, jakby dziewczyna nie istniała. Kiedy córka poskarżyła się ojcu, ten ją ofuknął:

-Ni ma żeś już dzieciontkiym Barboro, za roncza cie wodzić niy potrza! A tu mosz chusta po swoji mamulce i mosz jom dycki nosić!

I podał córce ciemno czerwoną, jedwabną chustę z długimi frędzlami. Była piękna, ale dziewczyna nie przypominała sobie, żeby matka ją kiedykolwiek nosiła. Podziękowała jednak za dar, pocałowała ojca w rękę i przyrzekła spełnić jego polecenie.

Tak to Barbarka została naprawdę sama. Nie miała matki ani opiekunki, a o przyjaciółkach mogła tylko pomarzyć! Ojciec wiecznie był nieobecny. Został jeszcze „ujec” Stanik Kunera, ale i on po śmierci swojej żony bardzo się zmienił i ludzie przypuszczali, że wkrótce do niej dołączy. Siadywał jeszcze w izbie bramnej, ale wszystkie posługi wykonywał za niego najstarszy wnuk Hanys. Niektórzy zazdrościli chłopakowi, że w niedalekiej przyszłości obejmie intratną posadę po dziadku. Barbarka zaglądała tam czasem, pozdrowiała chrzestnego, lecz on nie zawsze odpowiadał, siedział milczący i zapatrzony gdzieś w dal. Niewiele starszy od niej Hanys nie miał czasu na pogawędki, niekiedy ledwo zdążył podołać robocie. Wychodząc kiedyś z bramki w dzień targowy, dziewczyna natknęła się na starą, jaskrawo ubraną kobietę. Piesek mistrzówny podbiegł do przybyłej, złapał za brzeg fałdzystej spódnicy, zakręcił wokół jej nóg i staruszka upadła. Z jej odzienia posypały się małe złote pieniążki. Barbarka podbiegła do kobiety, pomogła jej wstać a potem wybierała wszystkie drobniutkie monety, podała je właścicielce i przeprosiła za zachowanie psa. Kobieta przeliczyła pieniążki i schowała w zanadrze, ale kiedy Barbarka chciała odejść, ujęła ją pod ramię:

-Ty młoda nie odchodź, ty dobra dziewczyna, ja ci powrózę...

-Nie godzi mi się tego słuchać matko! – przerwała dziewczyna, usiłując oswobodzić rękę.

-Ty się mnie nie bój, ja Cyganka, ale za dobro, dobrą monetą płacę... A od przeznaczenia ty dziecko nie uciekniesz...

Mówiła nieco inaczej niż miejscowi, ale dziewczyna doskonale ją rozumiała.

Barbarka została a Cyganka rozłożyła karty na podmurówce bramki..

-Tyś świata ciekawa młodycia, ty idź za bramę bo tam na ciebie czeka, twoja miłość, twoje przeznaczenie...- staruszka się wzdrygnęła i z politowaniem spojrzała na dziewczynę, ale ta zdawała się tego nie dostrzegać.

-Będę szczęśliwa? – zapytała.

-Będiesz i nie będziesz, jak wszyscy – stwierdziła krótko przybyła, ale widząc, że Barbarka pobladała, dodała – Jedno mogę ci powiedzieć, że kochać będziesz do końca życia i zejdziesz z jego imieniem na ustach...

Barbarce serce podskoczyło do gardła. Chciała jeszcze zapytać, czy ten „istny” to będzie przepowiadany przez ujnę Kwasizurkę kupiec, ale Cyganka gdzieś zniknęła, zapewne wmieszała się w tłum.

Już wtedy dziewczyna zaczęła planować swoją pierwszą samotną wyprawę poza mury.

Był dzień targowy. Katowna snuła się po rynku bez celu. W kościele oddzwonili już południe, a ona nadal nie potrafiła się zdecydować, co robić. Długo jeszcze się wahała zanim przysiadła

na furce zmierzającej do Osin. Chciała podjechać tylko kawałek, do starej kaplicy na wzgórzu, bo przecież nigdy tam nie była. Dopiero w drodze zaczęła się zastanawiać, co powie po powrocie ojcu, jeżeli ją zapyta gdzie była, jeżeli w ogóle zapyta.... Doszła jednak do wniosku, że nie będzie się gniewał, iż poszła odwiedzić swoją patronkę, bo świątyńka nosiła imię świętej Barbary i więcej nie zaprzętała sobie tym głowy.

-Młoda pani, to już sam je! – furman wyrwał Barbarkę z zamyślenia.

Dziewczyna zeszła z wozu, podziękowała za przysługę i skierowała się ku wiekowej budowli. Jej drzwi stały otworem! Miała szczęście, nawet misternie kuta krata była uchylona a w jej olbrzymim zamku tkwił ogromny pęk kluczy.

Barbarka wsunęła głowę w szparę i cichutko zawołała:

-Hej, je tam gdo?

Odpowiedzi nie było, dlatego niepewnie wsunęła się do środka. Zgrzyt otwieranej kraty sprawił jednak, że w ciemnym i ciasnym wnętrzu kaplicy pojawił się młody mężczyzna. Mógł mieć niewiele więcej niż dwadzieścia lat, był dostatnio odziany, choć jego skórzany kaftan odbiegał od najnowszych wzorów miejskiej mody. Delikatną twarz otaczały jasne, krótko przycięte loki. Promienie słońca wpadające przez jedyne, wąskie okno sprawiały, że włosy młodzieńca wyglądały jak anielska aureola.

-Życzysz se czego dziewczeczko? – zapytał, a głos miał miły i ciepły.

-Jo nic...Jo yno... – zająknęła się Barbarka, nie wiedząc, co powiedzieć.

-Nie bój się, wnijdź, zapewne przyszła żeś porzykać do patronki? – zgadywał młodzieniec.

Dziewczyna zrobiła krok do przodu i znalazła się w smudze światła.

-A cera mistrza Jana, co za miły gość, pójdźcie dalej ...- zachęcał młodzian.

-Skąd mnie znocie panie? – Barbarka nie kryła zdziwienia.

-We mieście zech łod niedowna, a wos paniynko widziolech na rinku, jak żeście szła nakupować ze starom Agatom... - Młody chłopak uśmiechnął się rozkosznie, a na jego policzkach pojawiły się delikatne dołeczki.- wy se tu posiedźcie a porzykejcie, bo jo sam mon trocha roboty, a potym pójdymy społu nazod! – dodał i zniknął za filarem.

Barbarka usiadła na wąskiej ławeczce i rozejrzała się po wnętrzu. Na lewo miała gruby filar, który podtrzymywał tylko malutką ambonkę, za nim domyślała się wejścia do zakrystii, ale nie odważyła się tam zajrzeć, zaś na środku, ale na prawo od okna, na niewielkim podnóżku stał posąg świętej Barbary wykuty z jednej bryły piaskowca. Święta miała smutne oblicze, spod zbyt wielkiej korony na jej ramiona spływały włosy pomalowane na kolor miedzi. Brunatna szata okrywająca całą postać tu i ówdzie była odrapana do żywego kamienia, tylko aureola i miecz trzymany przez świętą zachowały barwę starego złota.

Barbarka chciała się skupić na modlitwie, ale nie bardzo jej to wychodziło. Co chwila stawała jej przed oczami postać młodzieńca o anielskiej urodzie. W końcu dała za wygraną i pozwoliła swobodnie błądzić myślom. Ogarnęła ją fala ciepła i niesamowitej błogości, nigdy jeszcze nie doznała takiego uczucia! Nie wiedziała, że właśnie się zakochała.

Z zamyślenia wyrwał ją głos chłopaka:

-Muszymy już iść paniynko, bo nom brama zaprzom!

-To my raczyj pójdymy do bramki, tam zawiyrjom na końcu. – odpowiedziała szczęśliwa, że mogła się podzielić z młodzieńcem swoją wiedzą.- A jak się spóznicie to was ujec Kunera wyciongnie ze przimostka we koszu na wyrch...

-To wy sie widza, sam dobrze znocie! – zaśmiał się chłopak -Długoście we mieście?

-Jo sie sam narodziła, ale niy dwojejcie mi, bo sie czuja, jak jako wielgo paniczka! Godajom mi Barka abo Barborka, jedno se łobiercie...

-Barborka to je piykne miano, tak wos...tak cie byda wołoł, a mie je Gniewko!

-Tak yno Gniewko? – zdziwiła się Barbarka. – Jakiś dziwne miano, był sam jedyn, co mu godali Zbigniewko, ale łon był kajś ze polski ziemie...

-Jo je ze daleka, Barborko, to byś ani niy wiedziała, przikludził zech sie sam ze strijcem a pani Gertrudom, jego mandzielkom..- odpowiedział Gniewko zamykając na klucz kratę a potem dębowe, okute żelazem drzwi.

Wielki pęk kluczy zawiesił u pasa.

Kiedy młodzi przybyli na podmiejskie łąki, usłyszeli jak pomocnik starego Kunery odtrąbił podnoszenie mostku. Prawie bez tchu dobiegli do bramki. Znalazszy się za murami, Gniewko pożegnał się z dziewczyną i oddalił się w stronę rynku, a ona sama dopiero teraz uświadomiła sobie, jak jest późno i szybko pobiegła do domu. Ojciec siedział od dawna w swojej izbie a po mieszkaniu kręcił się tylko piesek. W kociołku nad paleniskiem Barbarka znalazła resztki kaszy. Mimo tak skromnej wieczerzy dziewczyna położyła się spać szczęśliwa.

Nie wiedziała, kim jest jej przyjaciel, nie widywała go w mieście, ale najważniejsze było to, że istniał. Gdyby zechciała, mogłaby uchylić rąbka tajemnicy, ale ona nigdy nie słuchała miejskich plotek.

Od tamtego czasu Barbarka coraz częściej wymykała się z miasta do starej kapliczki. Niekiedy zabierała ze sobą pieska, ale robiła to rzadko, bo musiała go uwiązać przed wejściem do świątynki, a on potem szczełał lub wył rozpaczliwie za swoją panią.

Któregoś dnia dziewczyna przyszła wcześniej niż zwykle. Zawołała Gniewka, ale on się nie odezwał, dopiero po dłuższej chwili wynurzył się zza filara, cały pokryty kurzem.

-Co ci się stało? - zapytała.

Chłopak nie zdążył jeszcze odpowiedzieć, kiedy na zewnątrz rozległ się odgłos energicznych kroków. Barbarka ledwie zdążyła uskoczyć w bok i ukryć się za załomem muru, kiedy do wnętrza wkroczył stary rajca Schwere:

-Grimelius, Grimelius! – zawołał. - Grimelius, jak ty wyglonda, majn zon. Ty tam byl, ty to odkryl? Nic niy widziol, nic niy slyszol, rozumi!

-Ja fati! – skruszony chłopak pokiwał głową.

Grimelius, pan farorz cie potrzebuje, chodź zaroz...- kontynuował przybyły.- Jo jada na folwark in Baranowic! – dodał i jego zażywna postać zniknęła za drzwiami.

Dopiero po chwili przerażona Barbarka wyszła z ukrycia. Gdyby rajca poczekał na syna, musiałaby zostać w kaplicy na noc, przecież za nic w świecie nie zdradziłaby swojej obecności, wiedząc że Gniewko mógłby zostać ukarany.

-Barborko! – zawołał chłopak. – Fest żeś się wylynkała? Strijec Niklas, to je dobry człowiek, yno bojony... A jeszcze sam przeca ni ma dłogo, to bezto...

-A co cie tak dziwnie wołol? – dopytywała się dziewczyna. – Grimelius? To je twoji przezwisko?

-To je moji miano! Gniewko a Grimelius tozsamo znaczy. Strijec je Niyemiec, bezto tak godo, ale moja mamulka była ze polski ziymie a dała mi Gniewko, ale strijec ło tym niy chce słyszeć...Yny pani Gertruda czasym mie tak woło...

-Czamu żeś ni ma u swijich łojców? – po raz wtóry zdziwiła się dziewczyna.

-Łoba już kupa lot niy żyjom, a familijo Schwere byli tak dobrzi a mie wziyni a jeszcze do szkoł posłali... Wiysz, Barborko, jo zaś na zima do Krakowa pojada się uczyć, ale niy płacz, coś ci pokoza ...- dodał i dał znak, żeby poszła za nim. – Widzisz, tu na filorku je gowa łod takigo dziwokigo zwierza, co mu lew godajom, a teroz się dziwej, jak tu prziciśniesz...

Wtedy coś zgrzytnęło i dwa kamienie u podstawy filara wolno się obróciły stając otworem, za nimi w ciemności majaczyły schody prowadzące w dół.

-Co to? Czy ło to sie gorszył rajca Schwere? – zapytała Barbarka.

-Nikomiu o tym niy godej! To je wielgie tajemstwo! Tyn gonek wiedzie aż do miasta, ale nigdy zech tam nie był. To je opastne jak sie nie zno drogi!

Zdawało się, że ta wspólna tajemnica połączy młodych na zawsze, ale tak się nie stało.

Barbarka nie dowiedziała się nigdy, dlaczego Gniewko opuścił Żory już następnego ranka, czyli znacznie wcześniej niż przewidywał. Mówiło się, że wyjechał do szkół, ale Barbarka

sama słyszała, jak jego ciotka powiedziała kiedyś na rynku do żony tkacza Moczygemby, że trzeba było chłopaka wcześniej z miasta wysłać, żeby szpetnych manier nie nabrał, ale nie sprecyzowała bliżej, co miała na myśli.

Jeszcze późną jesienią zachodziła czasem katówna do starej kapliczki, teraz zamkniętej na głucho. Siadywała na progu i wspominała niedawno minione czasy. Z jednej z takich „wycieczek” przyniosła rannego kruka. Ptak był osowiały i bezwolny, zupełnie jakby stracił bojowego ducha właściwego krukowi. Nie jadł, leżał na boku i słabł z dnia na dzień, dlatego Barbarka odważyła się poprosić ojca o pomoc. Nieśmiało zapukała do jego izby. Jan wyjrzał, ale minę miał marsową, wtedy dziewczyna wyciągnęła przed siebie dłonie z ptakiem. Ojciec wziął go ostrożnie i położył w kuchni na stole. Ptak spokojnie poddawał się zabiegom, a o tym, że żyje, świadczyło jedynie jego łypiące oko. Ręce Jana pracowały zręcznie składając pogruchtane kości, w pewnej chwili kruk wydał przeciągłą kwilenie, poderwał się, zatrzepotał skrzydłami i przyjął pozycję siedzącą.

-Bydzie żył! – oznajmił Jan. – Choć do świata już nie poleciał!

Potem wycofał się do swojej izby i zamknął drzwi na głucho.

Nadeszły „Godnie Święta”. Barbarka sama przygotowała wigilijną wieczerzę, ale ojciec ledwo ją tknął. Nie podziękował, nie pochwalił, tylko jak zawsze po kolacji, uciekł do swojej izby.

Dziewczyna została sama z pieskiem, który przysiadł koło jej stóp. Chciała zaśpiewać kolędę, ale głos uwiązł jej w gardle i po chwili się rozplakała. Szlochała tak długo, aż zasnęła. Śniła jej się, że znów jest małą dziewczynką, biega po łące, zbiera kwiatki, a potem biegnie w stronę Maryjanki, żeby pokazać jej swoją zdobycz, ale stara kobieta stoi nieruchomo. Przestraszona Barbarka zawraca i w biegu rzuca się w rozpostarte ramiona matki, ale i ona się oddala i jej obraz blednie. Wtedy do uszu śpiącej dobiega głos dzwonu, w wielkim kościele dzwonią na pasterkę. Może przyjechał Gniewko! – kołacze jej w głowie, dlatego owija się czerwoną chustą i wychodzi z domu. Rzeńskie, mroźne powietrze przywraca jej przytomność. Przypomina sobie o zakazie udziału w nabożeństwach w farnym kościele, ale jakoś się wślizgnie do wnętrza, taką przynajmniej ma nadzieję.

Szczyście sprzyjało Barbarce: było ciemno i nikt nie zauważył, kiedy przemknęła chyłkiem przez otwarte drzwi i skryła się w kącie, w cieniu chrzcielnicy. Nabożeństwo było piękne i uroczyste. Wyszedł sam pan farorz i długo przemawiał, a potem wspomniął, że naszego mieszkańca, synowca pana Schwere spotkał wielki zaszczyt, bo został wysłany do dalekich szkół aż do Padowy i nie prędko go zobaczymy. Dziewczynie pociemniało w oczach i gdyby nie wsparła się o kamienną chrzcielnicę, z pewnością osunęłaby się na ziemię. Dopiero po dłuższej chwili przyszła do siebie i wyszła niepostrzeżenie ze świątyni. Sama właściwie nie wiedziała, jak udało jej się dotrzeć do domu. Tam się położyła i przez dwa dni leżała jak bez ducha. Jan dopiero drugiego dnia zorientował się, że z jego córką dzieje się coś złego, bo jej mały czworonożny przyjaciel od rana był niemiłosiernie, a koło południa dołączyło jeszcze żalosne krakanie kruka.

Barbarka niby w końcu wydobrzała, ale snuła się po domu jakby bez życia, dopiero kiedy nadeszła wiosna i lato poczuła się lepiej, i zabrała za zaległą domową robotę. Zamiast Agaty zaczęła przychodzić do nich stara Kunyszka. Starka musiała być stara jak świat, bo wspominała czasy, o których Barbarka w ogóle nie miała pojęcia, ale mimo wieku była żwawa i obrotna. Obie zresztą bardzo się polubiły, ale dziewczyna wciąż żyła z niepokojem na dnie duszy, że niedługo może starki zabraknąć, a tego ponownie przeżywać nie chciała.

Gniewko nie wrócił, ani latem ani jesienią, ani też na Godnie Święta. Wydawało się, że Barbarka powoli o nim zapomina, bo prawie wcale go nie wspominała, ale ona wciąż czekała na niego w swoim sercu. Na razie nie musiała się opędzać od konkurentów, jak inne młode mieszczyki, bo żadnego jak dotąd nie miała, ale razem ze starką Kunyszką wytrwale

przygotowywały przyszłą ślubną wyprawę. Zajmowało to im sporo czasu, bo Barbarka zapragnęła mieć wszystko w najlepszym gatunku i haftowane jedwabnymi nićmi.

Początkiem lutego nagle zrobiło się ciepło jak w maju. Do miasta zaczęli ściągać wędrowcy różnego autoramentu. Pewnego wieczoru do drzwi domku pod murami zapukał niemłody człowiek z małym tobołkiem na plecach i poprosił po czesku o nocleg.

Barbarka wpuściła go do obszernej kuchni i usadziła przy ogniu. Dostał kawał chleba i miskę zupy. Chcąc podziękować za przyjęcie, przybysz wydobył ze swego worka gęśle i zaśpiewał rzewnym głosem:

-W Daliborce prażske wieži, mlade dziewcze sedi...¹

I popłynęła historia o dziewczynie imieniem Bara, którą zamknięto w wieży za czyn, którego nie popełniła, sędzia jej nie uwierzył i skazał na ciężkie tortury, a ona bardzo bała się bólu, dlatego poprosiła zakochanego w niej młodego pomocnika kata, żeby ją zabił w noc poprzedzającą kaźnię. Następnego dnia młody kat zniknął, ale zabrał na pamiątkę czerwoną chustę Bary.

Barbarka słuchała z otwartymi ustami, choć gądek śpiewał po czesku doskonale wszystko rozumiała i cała historia wydała się jej, nie wiadomo skąd, znajoma. Przy ostatniej zwrotce otwarły się niespodziewanie drzwi Janowej izby:

-Czego to ludziska niy wydumajom! – syknął gniewnie gospodarz. – Cołkiym jakby przy tym byli... – i głos się mu załamał, ale w jednej chwili zapanował nad sobą. – Skondżeś chłopie! – zapytał.

-Jasny panie, z czeske zymie, łod Czaslawy...- odpowiedział wędrowiec.

-Co tam we Czechach nowego? – Kat dalej badał gościa.

-E, wiedi panie, nasze Koruna Czeska je pro nas tedź jako maczecha, odkud zemrzel nasz otec Jan ze Trocnowa, wszechni jsme sirotcy, proto za naszi pany do Slezka porzad biežim...² – odrzekł niepewnie śpiewak.

Widać odpowiedź była zadowolająca, bo Jan nakazał córce, żeby natychmiast położyła się spać na stryszku, a sam wdał się w pogawędkę z gościem. Dziewczyna jednak długo nie mogła zasnąć, bo słyszała szmer rozmów na dole, a potem spała dziwnym, urywanym snem, w którym jawiła się owa Bara z pieśni i szeptała jej do ucha: masz moją chustę, masz moją chustę...

Kiedy Barbarka się przebudziła, dniało i było na tyle jasno, że sięgnęła po chustę leżącą obok posłania, żeby ją obejrzeć. Przy brzegu odkryła ślad po wyprutym hafcie. Mogły to być najwyżej trzy-cztery litery. Dziewczyna odwróciła się w stronę okna i spojrzała na nie pod światło. Punkciki po igle tworzyły napis: Bara.

Zbiegła na dół, żeby zapytać wędrowca, co jeszcze wie o tej kobiecie, ale przybysza już nie było, a ojca się bała się zagadnąć, choć nie mogła zrozumieć, jak on mógłby się zdobyć na taki desperacki czyn! Potem jednak zganiła siebie za takie myśli, przecież to była tylko pieśń, a jej ojciec wcale nie musiał być jej bohaterem. Nie musiał, ale mógł! Ta myśl coraz częściej wkradała się do jej świadomości.

Znowu minęło lato, a o Gniewku nic nie było słyhać. Barbarka spotykała czasem kupcową Schwere, ale nie odważyła się jej o niego zapytać, bo pani Gertruda wydawała jej się taka wyniosła i nieprzystępna. Nigdy nie odpowiadała na ukłony dziewczyny, traktując ją jak powietrze.

Na Godnie Święta zjechali do miasta Božetinowie i zaraz następnego dnia zjawili się w domku pod murami. Mieli dla Jana ciekawą, jak mówili, propozycję. Chcieli, żeby wydał córkę za ich kompaniona, kowala z Božetina. Jan nie odmówił im wprost, tłumacząc, że wybór pozostawia córce, a Barbarka oczywiście nie chciała wyjść ani za tego, ani

¹ W Daliborce, praskiej wieży, młode dziewczę siedzi...

² E, wiecie panie, nasza Korona Czeska jest dla nas teraz jak macocha, odkąd umarł nasz ojciec Jan z Trocnova, wszyscy jesteśmy sierotami i dlatego za naszymi panami wciąż do Śląska biegniemy...

za kogokolwiek innego, kochała przecież Gniewka. Wujowie się gniewali i naciskali, ale nie mogli zmienić jej decyzji, bo dziewczyna twardo obstawała przy swoim. Usiłowali jeszcze wpłynąć na Jana, ale on z sobie tylko wiadomych powodów poparł córkę. Być może nie ufał już szwagrom jak dawniej albo podejrzewał, że coś knują. Bożetiniowie wyjechali z miasta zaraz po Nowym Roku, rzekomo wzywały ich jakieś sprawy nie cierpiące zwłoki.

Po tym wydarzeniu Barbarka straciła chęć do przygotowywania wyprawy ślubnej. Rzadko coś szyła lub haftowała i zawsze szło jej niesporo, popadła jakby w apatię i wszystko leciało jej z rąk. Starka Kunyszka domyślała się, co ją trapi, dlatego żeby ulżyć dziewczynie w cierpieniu, przygotowywała dla niej rozmaite ziołowe napary. Kuracja zdawała się być skuteczna, bo wiosną znów Barbarka zabrała się ochoczo do pracy i z większym niż dotąd zapałem pełniła funkcję gospodyni. Za zgodą ojca kupiła nawet nową zastawę stołową, co stara Kunyszka uznała za niepotrzebną rozrzutność, bo stare dzbany i misy, choć mocno poszczerbione, nadawały się jeszcze do użytku.

Nadeszło wyjątkowo upalne lato. Barbarka coraz częściej nadzorowała prace polowe, żeby choć trochę ulżyć ojcu, który ostatnio czuł się niezdrowo. Znów wychudł, a twarz jego nabrała żółtego koloru. Wyglądał też starzej niż zwykle.

Wczesną jesienią, kiedy w domku pod murami już wszystko wydawało się wracać do normy, w mieście gruchnęła wieść, że wraca młody pan Schwere, teraz już diakon i przez rok będzie pomagać żorskiemu panu farorzowi. Barbarka stała wtedy przy straganie tkaczowej Moczygembiny i kupowała nową, sukienną chustę na zimę, kiedy do kramu wpadł najmłodszy uczeń majstra i prawie wykrzyczał tę nowinę. Dziewczyna wzięła machinalnie pierwszą z brzegu chustę, nie bacząc na jej nie twarzowy ciemnozielony kolor, drżącymi rękami odliczyła monety i pognęła do domu jak na skrzydłach.

-Starko, Gniewko przyjźdź! – krzyknęła od progu na widok starej Kunyszki.

-Uklidni się Barborko! Przeca wiysz, że łon teraz do bożej służby przeznaczony, widać niy było to wom pisane! Ani na niego niy zaglondej, bo se łostudy narobisz! – zbeształa ją starka podniesionym głosem.

Uśmiech zgasł na twarzy dziewczyny, a w jej czarnych oczach pojawiły się łzy, ze spuszczoną głową odeszła do swojej komórki. W obecności Kunyszki nie wspominała już o Gniewku, bo choć bolała ją uwaga starci, wiedziała, że była podyktowana troską o jej reputację.

Na początku października mieszczanie zaczęli budować bramę powitalną na cześć młodego diakona. Rajca Schwere puszył się jak paw, to przecież jego synowca mieli witać w mieście! Sam doglądał budowy i nie szczędził pieniędzy, chociaż pan farorz, prosił, żeby powitanie było skromne. Okazała, ukwiecona ostatnimi jesiennymi kwiatami i obwieszona zielonymi girlandami brama stanęła tuż za mostem na rzece Rudzie. Na ostatnią w tej podróży noc diakon miał się zatrzymać na farze w Suszcu, dlatego pan Schwere wysłał tam posłańca, który wrócił następnego dnia rano z wieścią, że młodego pana można się spodziewać koło południa. Prawie całe miasto wyległo za Dolną Bramę, inaczej zwaną Krakowską, ponieważ droga od niej prowadziła prosto do Krakowa. Zostały tylko straże na murach. Barbarka też ochoczo pomknęła za mury, choć w czasie bezsennych nocy przysięgała sobie, że tego nie zrobi. Nikt jednak nie zwrócił na nią uwagi, bo wszystkie oczy skierowane były na przybysza. Gniewko, przystojniejszy niż kilka lat temu, siedł między panem burmistrzem a swoim stryjem aż do bramy miejskiej, gdzie przywitali go pan farorz i starusieńki ksiądz Antonin, który odprawiał niedzielne msze w małym kościółku i poprowadzili całą procesję do wielkiego kościoła. Dziewczyna też stała w tłumie i śpiewała razem z innymi wspaniale pieśni, ale Gniewka tego dnia więcej nie widziała.

W małym domku pod murami ponownie nastały smutne dni. Barbarka znów snuła się po domu bez celu. Starka Kunyszka wciskała jej co chwila jakąś robotę, żeby odegnać złe myśli,

ale dziewczyna albo siedziała nad nią przez dłuższy czas niemal bez ruchu, albo wszystko robiła byle jak.

Nadeszła niedziela i Barbarka postanowiła, że pójdzie na sumę do farnego kościoła. Czego miałyby się bać, przecież jej nikt oficjalnie tego nie zabronił?

Niestety, dostać się do wnętrza nie było tak łatwo, jak za poprzednim razem. Przy głównych drzwiach stał sługa kościelny i przytrzymywał je, kiedy wchodzili znaczniejsi mieszczanie, zaś boczne wejście od strony zakrystii było zamknięte na głucho. Barbarka przykucnęła za przyporą, żeby wyczekać na stosowny moment, kiedy kościelny odejdzie. Trwało to bardzo długo. Dwugodzinna msza zbliżała się ku końcowi, kiedy stwierdziła, że droga jest wolna. Wsunęła się więc w szparę w drzwiach i z podniesioną głową wkroczyła do wnętrza.

Gniewko stał na ambonie i czytał coś z wielkiej księgi, przerwał jednak kiedy zobaczył Barbarkę idącą z wolna środkiem kościoła. Nie mógł wydusić ani słowa! Dziewczyna wpatrywała się w niego jak urzeczona i podchodziła coraz bliżej. Nie wiadomo jak długo trwałaby ta patowa sytuacja, gdyby nie rajca Schwere, który poniósł się z ławki, ujął dziewczynę pod rękę i prawie siłą wyprowadził z kościoła, choć bardzo się ociągała i odwracała głowę, by choć raz jeszcze spojrzeć na Gniewka.

Jak tylko znaleźli się na zewnątrz, rajca spurpurowiał na twarzy i popchnął dziewczynę tak mocno, że aż zatoczyła się i uderzyła głową o ścianę.

-Idź diabelski nasieni...I tak niy dostanie go ni... – warknął i wrócił do kościoła.

Wtedy dopiero dotarło do niej, że ona, córka mistrza Jana, jest nikim, nawet taki przybysz jak rajca Schwere mógł ją obrażać bezkarnie, bo nikt za nią się nie ujmie! Padła na kolana i zaczęła płakać z żalu nad swoim losem, a wychodzący z kościoła mieszczanie potrącali ją i głośno złorzeczyli, obwiniając dziewczynę za zaistniały w kościele incydent.

Sama nie wiedziała, jak długo już tak klęczała, kiedy poczuła, że ktoś dotyka jej ramienia i nad nią się pochyla. To był Gniewko!

-Je mi lito Barborko, niy chciół żech ci sprawiać taki boleści! Jo ci dycki przoł, ale nie zawisł żech yno na siebie, moji niywłośni łojce mie Bogu ślubowali...Wybocz mi, prosza cie Barborko, bo bez tego żyć niy byda poradził...

Dziewczyna podniosła na niego wzrok, ale jej ciemne oczy były jakieś puste i dzikie, aż chłopakowi przeszedł dreszcz po plecach.

-Gniewko! Jak dobrze! Gniewko! – szeptała bezładnie, wyciągając ku niemu ręce, ale nie podnosząc się z kolan.

-Cóż ci to Barborko? - zaniepokoił się młodzian i objął ją, chcąc pomóc jej wstać.

Taką dwuznaczną scenę zastał pan farorz, który zaniepokojony zniknięciem Gniewka, ruszył na jego poszukiwania.

-Coż widza mój synu?! – zawiesił głos.

-Panie fararzi, pomóźcie, śniom sie coś złego dzieje, pomóźcie! – prosił chłopak ze łzami w oczach, ale ksiądz był nieugięty.

-Ty sie młodziyńcze we taki rzeczy niy wstyrkej! Łojca mo, domy znać, to po nia przidzie! Tobie to sie niy godzi! Moji dzisiejszy nauki do serca, żeś se niy wzion, to tera posiedzisz ze trzi dni a noce we zakrystyi ło chlebie a wodzie, to zmondrzejesz! Jak mosz miynki serce, to musisz mieć twardo dupa, syneczku!

To powiedziawszy ujął Gniewka pod ramię i poprowadził w stronę wejścia do zakrystii. Dziewczyna została sama. Po chwili wstała i jakby w lunatycznym śnie powlekła się w stronę, gdzie znajdowało się jedyne okno zakrystii. Był to raczej maleńki prześwit, bez szybek i okiennic, a na dodatek umieszczone bardzo wysoko, ale stojąc pod nim można było rozmawiać z osobą znajdującą się we wnętrzu. Kiedy Barbarka tam dotarła, oddychała jak po ciężkim biegu, oparła się zaraz o ścianę i osunęła na kolana.

Farorz danego słowa dotrzymał, wysłał sługę do domku pod murami. Starcka Kunyszka nie chciała niepokoić mistrza Jana i sama poszła po Barbarkę. Towarzyszył jej jedynie piesek,

który rozszczękał się radośnie na widok postaci skulonej pod kościelnym murem, ale dziewczyna nawet się nie poruszyła. Starka podeszła bliżej:

-Barborko, miała być iść do dom... – szepnęła błagalnie.

Dziewczyna podniosła na nią dziwnie rozgorączkowane oczy, ale odpowiedziała przytomnie:

-Niy stareczko, niy póda, Gniywko sam je, we zakrystyji, samego go przeca niy łostawia...

-Ale, Barborko, we nocy może być zima... – prosiła starka ze łzami w oczach.

-Niy bojcie sie starco, jo nawykła, u nas we wyrchowej izbie tyż je zima...łostawia se pieska, łon mie łogrzeje...rano przida do dom, po jutrzni... a teraz idźcie już starco!

Zmartwiona starowina wróciła do domu i zebrała się na odwagę, by zapukać do drzwi mistrzowej izby, ale Jan się nie odezwał. Być może nie chciał otworzyć, albo go nie było. Kunyszka postanowiła poczekać do jego powrotu, usiadła na ławę przy piecu i zasnęła. Nad ranem obudziło ją przeraźliwe krakanie kruka, chwilę potem zobaczyła pochyloną nad sobą lekko zgarbioną postać Jana:

-Gdzie Barka? – zapytał. – Ać uspokoji te ptozysko!

-Panie, to wy nic niy wyicie, łona łostała pod kościołym, prosiłach, ale łona niy chciała...

Mistrz nie pozwolił jej skończyć. W biegu wrzucił na siebie kapotę, bo na dworze było mroźno i pognał w stronę kościoła. Dzwoniono na jutrznię. Już z daleka zobaczył ludzi stojących obok jednej z przypór od strony absydy, kiedy się zbliżył, rozstąpili się bez słowa. W załomie muru leżało skulone ciało jego córki do jej nóg tulił się mały, kudłaty piesek. Jan przyklęknął przy nich: zwierzak, choć mocno przemarznięty, żył, ale ręka jego pani była lodowata i wtedy coś się nagle katowi przypomniało. Sięgnął do kieszeni i dotknął dwóch małych pieniążków. Były to zapłaty od skazanych, dowód na to, że mu przebaczyli. Pamiętał jednak, że matka jednego z nich zastąpiła mu drogę tuż po egzekucji i szarpiąc za rękaw czarnego kaftana wykrzyczała w rozpacz: Oby twoje dzieci nie przeżyły więcej niż mój niewinny syn!

Jan z początku niewiele sobie z tego robił, ale potem zwrócił się do samego praskiego biskupa z prośbą o zdjęcie klątwy, niestety odpowiedzi nie otrzymał. Później już nie mógł ponowić starań, bo przeciwności losu zmusiły go do ucieczki. Widać złe słowo teraz się spełniło!

Ojciec podniósł bezwładne ciało córki i powłókł się w stronę domu. Zszokowani mieszczanie jeszcze przez chwilę stali w milczeniu, a potem okrążyli budowlę i jeden po drugim weszli głównym wejściem do kościoła.

Kopnięciem kat otworzył sobie drzwi swego domu i swoje brzemię złożył na ławie. We wnętrzu panował półmrok, zapalił więc lampę stojącą na stole. Kiedy jej blask oświetlił błdziutką twarz Barbarki, wydawało się jakby dziewczyna spała. Jan jeszcze raz przyłożył ucho do jej piersi, ale ona nie żyła naprawdę! Wtedy z zaplecza wybiegła starka Kunyszka, padła na kolana obok ławy lamentując:

-Ło Boże, Boże...Barborko, Barborko...

-Łona nie żyje starco... – głos Jana na chwilę się załamał. – Wypłaca wom wasze zasługi, weźcie psa a ptoka a uciekajcie z tego przeklyntego domu, idźcie do swoich ...

-A wy zacny panie? – pytała zapłakana Kunyszka, podnosząc się z podłogi.

-Dzięki wom starco za dobre słowo! Póda do swoich a Barborka tyż wezna ze sobom...

-Jakże to? - zdziwiła się starca, ale już nie usłyszała odpowiedzi.

Jeszcze tego samego ranka, kiedy mistrz Jan pozostał sam, rozpałił kuchenny piec i przyniósł ze strychu największy kocioł, w którym gotowano zazwyczaj białe pranie i zabrał się do makabrycznej pracy. Czuł bowiem, że nie może zostawić kości swego dziecka w tej niegościnniej ziemi.

Koło południa do drzwi domku pod murami zastukał pan farorz w asyście zacnego pana burmistrza i dwóch nie mniej zacnych rajców. Długo stukali, ale Jan im nie otworzył, burknął tylko przez drzwi, że jest zajęty.

-Janie, my przyszli skuli pogrzebu....-zaczął pan farorz.

-Bóg zapłać, panie fararzi, ale niy potrza, jo swoji dziecko biera do swoji zymie...-
odpowiedział Jan zza drzwi.

-Zastanówcie się jeszcze Janie, jakoż to pojedziecie z trupym telki światy – apelował pan burmistrz.

-My, kaci, mamy na to swoji sposoby! – odkrzyknął mistrz i więcej się nie odezwał.

-Zbłąźnił chop łod żalu, trza bydzie jutro z rana zebrać ciało dziolchy siłom, jak nom go niy wydo... – zdecydował pan burmistrz.

Jan jednak nie czekał do następnego ranka. Późną nocą wymknął się z domu i skierował prosto na ratuszowy dziedziniec. Niósł niewielki, parciany wór owinięty czerwoną chustą Barbarki. Coś w nim lekko grzechotało, kiedy spuszczał go do studni. Załedwie chwilę później mistrz sam zniknął w jej czeluściach.

Szczęk kołowrotu zbudził starego Bartocha. Sługa wyrzał przez okno. Wydawało mu się, że widzi obok studni jakiś cień, ale w końcu uznał, że to przywidzenie i ponownie udał się na spoczynek.

Następnego dnia żałobnicy zastali tylko pusty dom. Z pozoru wszystko było na swoim miejscu, brak było tylko gospodarza, Jan zniknął, dosłownie jakby zapadł się pod ziemię. Nigdzie też nie znaleziono ciała jego córki.

Kiedy wiosną ponownie otwarto starą kaplicę na wzgórzu, stwierdzono, że ktoś usiłował podpalić grube, dębowe drzwi robiąc pod nimi ognisko ze szmat. W popielisku leżał czerwony jedwabny frędzelek, który młodemu panu Schwere wydawał się znajomy.